



Mirosław Derecki

ROBOTNICY LUBLINA : MONOLOG INŻYNIERA

Nigdy człowiek nie wie, jak mu się los ułoży. Na przykład z tym domem: już, już wydawało mi się, że robota skończona, że nareszcie będzie można odpocząć, pojechać na prawdziwy urlop, do Bułgarii, wygrzać się na słońcu, wykapać w słonej wodzie, a tu się nagle, proszę pana, okazuje, że ściany zaczynają pękać, chałupa osiada i cała robota na nic. Więc zamiast do hotelu w Żółtych Piaskach, przenieśliśmy się na całe lato z żoną i dziećmi do komórki, a ja te mury, które jeszcze kilka miesięcy temu własnymi rękami stawiałem, musiałem rozbierać i znowu własnymi rękami cegłę na cegle, pustak na pustaku, stawiać. Akurat rok minął, jak po raz drugi dom sobie wymurowałem. Nieraz zły jestem na siebie, ale znowu myślę: niby skąd miałem się znać na budownictwie? Ja jestem inżynierem-mechanikiem a nie budowlańcem, nigdy się roboty murarskiej nie uczyłem, byłem za to milicjantem, żołnierzem, strażakiem, konstruktorem lotniczym, teraz się jeszcze bawię w ogrodnika, to mi chyba „zawodów wyuczonych” wystarczy? Zresztą dom stoi i drugi raz już popękać nie ma prawa.

Działka to własność żony, dostała po ojcu. Obsadziliśmy ją żywopłotem z mirabelek i założyliśmy sad orzechowy. Lubię drzewa orzechowe. Dają dużo cienia, a liście pięknie pachną. No i nie bez tego, że orzechy się opłacają finansowo, a roboty przy nich nie za wiele.

Niektórzy koledzy się śmieją: „ledwie Winiarczyk został inteligentem pracującym, od razu przekwalifikował się na chłopą”. A czy dyplom inżyniera zmusza do mieszkania w mieście? Ja zrezygnowałem z mieszkania w blokach w Świdniku i wcale nie żałuję. Tam miałem przez osiem godzin łomot w hali montażowej, a przez resztę czasu, w domu, hałas z ulicy. Tutaj, w Kazimierzówce, cisza aż w uszach dzwoni. Do Świdnika polami nie tak daleko, ze trzy kilometry, latem to jest przyjemny poranny spacer; jak mi się nie chce iść, mamy przecież autobusy z fabryki... Poza tym - z chłopów jestem, na wsi się urodziłem i na wsi się najlepiej czuję. Z drugiej strony aż mi się śmiać czasem chce - przecież ja w ciągu kilkunastu lat pracy tak się związałem, zżyłem z zakładem, z WSK w Świdniku, że mi się widzi, jak by to było moje gospodarstwo... Fakt, pracuje się tutaj niemal od momentu wbicia pierwszego kołka pod ogrodzenie. Cała moja rodzina pracuje w WSK. Bo tak: brat Stanisław jest konstruktorem, drugi brat, Jan - czyli ja - kierownikiem Wydziału. Montażu Motocykli, siostra Zofia po skończeniu chemii na UMCS pracuje w biurze głównego

metalurga, a druga - Maria - jest urzędniczką w kadrach. Tylko brat Stefan „zdradził”. Jest zawodowym oficerem, majorem. Nawet ojciec pracuje w zakładzie. Jako portier.

A ojciec, proszę pana, był kiedyś kowalem. Miał pięcioro dzieci, kawałek gruntu we wsi Blinów w Kraśnickim, a że własnej kuźni nie posiadał, zatrudniał się u właściciela majątku, Kuczyńskiego. Bogato w domu nie było, bo ojciec chciał nas wszystkich wykształcić, a na to potrzebne są pieniądze. Zresztą nie on jeden w naszej rodzinie kształcił dzieci. Na przykład mój wujek miał dwie morgi całego majątku, ale jednego syna oddał jeszcze przed wojną do szkoły podoficerskiej, a drugiego do gimnazjum. Nie bogaty był wujek, ale i nie głupi, należał do „Wici”, zawsze mawiał, że nauka wprawdzie z głupiego mądrego nie robi, ale mu i nie zaszkodzi, a w życiu tylko pomoże.

Ja byłem najstarszy z rodzeństwa - urodziłem się w 1928 roku - więc, kiedy skończyłem szkołę powszechną, ojciec wysłał mnie na naukę do Gimnazjum Mechanicznego w Lublinie na Czwartku. Był rok szkolny 1943/44 i chociaż w mieście Niemcy się panoszyli, to w terenie pełno już było partyzantów i ja się przypadkowo z tymi partyzantami związałem.

A było to tak: miałem w klasie kolegę, Edka Gocha, z sąsiedniej wioski, z którym co sobotę jeździliśmy do domu. Edek wysiadał w Rzeczycy, jego rodzice prowadzili tam sklep, a ja jechałem jeszcze kawałek dalej, do Blinowa. Edek często woził do Lublina jakieś pakunki, ja mu pomagałem. Potem okazało się, że to była „bibuła” dla partyzantów „Cienia”, którzy często zbierali się u starych Gochów. Czy to znaczy, że brałem udział w konspiracji? Bo ja wiem? Wozilem od czasu do czasu gazetki, znałem niektórych ludzi... Byłem „sympatykiem” oddziału, chyba tak to można określić...

Od maja 1944 r. zajęcia w szkole odbywały się coraz rzadziej, a pod koniec miesiąca w ogóle zostały zawieszane. Pojechałem do domu, a w Lublinie znalazłem się znowu dopiero 2 sierpnia, już po wyzwoleniu. I właśnie tego dnia, na Krakowskim Przedmieściu, przypadkiem spotkałem Edka. Był przy broni i z białą-czerwoną opaską na ramieniu. „Co robisz? - pytam. - Co się z tobą działo, jak cię nie było?” „Co się działo, długo, by opowiadać - on mi no to - a teraz pracuję w milicji i ciebie też mogę zaprotegować”. Strasznie mi zaimponował i już ani mi w głowie była myśl o szkole, tylko chciałem zostać milicjantem.

Okazało się, że część partyzanckich oddziałów „Cienia” i „Przepiórki” pełniła obecnie służbę w milicji. Niektórzy pamiętali mnie ze sklepu rodziców Edka, więc zostałem przyjęty bez większych trudności. Komenda Miasta mieściła się wówczas w pałacyku na rogu Zielonej i Staszica, a ja otrzymałem przydział do IV Komisariatu, którego komendantem był „Grom”. IV Komisariat zajmował pomieszczenia w kamienicy na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Wieniawskiej. Dostałem zaraz mundur, opaskę i pistolet. Gorzej było z wyżywieniem. W urządzonej na podwórzu kuchni gotowano tylko kaszę i smak tej kaszy - często bez omasty -

będę pewnie pamiętał do końca życia. Ale kto by wtedy zważał na takie drobnostki jak jedzenie: byliśmy zapracowani od rana do wieczora, a ja jeszcze czułem się specjalnie wyróżniony, bo zostałem łącznikiem między Komendą Główną MO a Zarządem Politycznym Wojska Polskiego oraz Dowództwem Naczelnym WP, rezydującym w budynku przy Placu Litewskim. Kilka razy meldowałem się wtedy generałom Żymierskiemu i Spychalskiemu.

W Lublinie panował już spokój, ale plotki głosiły, że w lochach i piwnicach chowają się uzbrojeni hitlerowcy. Pewnego razu zostałem przydzielony do grupy milicjantów, którzy otrzymali rozkaz spenetrowania podziemi Lublina. Oczekiwałem niesamowitych przygód, więc zaopatrzyłem się w pokaźną ilość amunicji do swojej „tettetki”, którą niedawno wymieniłem z pewnym radzieckim majorem za maleńką belgijską „szóstkę” i butelkę wina. Major był zakochany w łączniczce i „szóstki” potrzebował na prezent dla swej narzeczonej. Ale ja tu zбочyłem z tematu. Więc weszliśmy w lochy pod starą wieżę ciśnień przy Placu Wolności, a wyszliśmy w ruinach kina „Corso”. Żadnych Niemców nie było, wypačkaliśmy tylko mundury. W jednej piwnicy znaleźliśmy pięć butelek francuskiego szampana, ale jak przyszło do otwierania, nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać, w końcu wino „wykipiało”, myśmy się położyli spać o suchym pysku i taki był koniec wielkiej wyprawy do lubelskich lochów.

We wrześniu 1944 r. przyszło mi pełnić naprawdę trudne i odpowiedzialne zadanie. Wchodziłem w skład eskorty, przeprowadzającej katów Majdanka z więzienia na salę rozpraw. Na ulicach, przed gmachem sądu, zgromadziły się wtedy tłumy ludzi, które chciały zlinczować więźniów. Ledwie ich obroniliśmy. Później woziliśmy już Niemców zakrytymi samochodami.

W listopadzie zaciągnąłem się do Armii Wojska Polskiego. Znalazłem się w batalionie szkolnym, na Majdanku. W tym batalionie po raz pierwszy od czterech lat świętowaliśmy wigilię na wolnej ziemi. Ta wigilia tym bardziej wryła mi się w pamięć, że odwiedziła mnie matka, od której dowiedziałem się, że cała rodzina żyje.

W styczniu 1945 r. trafiłem do Jastkowa do „kompanii małoletnich”, utworzonej przy szkole oficerskiej KBW. Szedł mi dopiero szesnasty rok życia, więc służbie frontowej nie podlegałem. W kompanii znajdowali się chłopcy w różnym wieku i o różnym stażu wojennym. Najmłodszy, Gaska, liczył dziesięć lat i przemaszerował kawał świata z wojskiem jako „syn pułku”, najstarszy, siedemnastoletni Radomski, zdążył się już dosłużyć w Armii Radzieckiej stopnia sierżanta. Dowódcą kompanii był porucznik Henryk Cybulski, a jego zastępcą kobieta, chorąży Niusia Hercyk. Poza przedmiotami wojskowymi wykładano tutaj przedmioty ogólnokształcące w zakresie szkoły podstawowej i pierwszych klas gimnazjalnych.

Koniec wojny zastał nas już w Łodzi, gdzie „kompanię małoletnich” włączono do powstającego Korpusu Kadetów. Potem była oficerska szkoła KBW w Legnicy, „mała matura”, a 24 maja 1948 r. zdałem egzamin końcowy z piątą lokatą i wyszedłem w świat z dyplomem

podporucznika w kieszeni.

Prawdę mówiąc nie tyle wychodziłem, co przełaziłem na świat... przez mur. Przydziału do jednostek jeszcze nie było, siedziało się w koszarach i umierało z nudów. A każdy miał już w mieście przygruchaną dziewczynę. W sobotę, po promocji, odbywał się w Legnicy wielki bal. To my do dowódcy szkoły: „Obywatelu dowódcu, tak i tak, prosimy o przepustkę do miasta”. A on nam przepustki nie chciał wydać. Co mieliśmy robić? Jak się tylko ściemniło, hyc, hyc i już jesteśmy na murze okalającym szkołę. Tylko, że on nie był frajer, już sobie za murem stał i czekał na nas. „Szkołę oficerską skończyliście, ale jeszcze mojej władzy podlegacie - powiada. - A dopóki władzy podlegacie, macie się słuchać moich zarządzeń. A że zarządzeń nie wypełniliście, należy się wam kara. A karą będzie ostrzyżenie włosów do gołej skóry”. I nie było rady. Stary zaprowadził nas do fryzjera i tak skończyły się marzenia o „oficerskim” balu.

Zostałem odkomenderowany na kurs zastępców dowódców szkół podoficerskich, a po jego ukończeniu otrzymałem przydział na Lubelszczyznę. W ten sposób po kilku latach wojskowej „tułaczki” wróciłem w rodzinne strony. Tutaj stanąłem na czele tzw. grupy operacyjnej, to znaczy plutonu żołnierzy, który penetrował teren w poszukiwaniu poniemieckiej broni, a zarazem prowadził wśród ludności wiejskiej akcje uświadamiającą. Niebezpieczne były jeszcze czasy, ale ciekawe. W terenie grasowały bandy WiN-u i NSZ-tu. Rozlokowaliśmy się raz, tuż przed świtem, na kwaterach w Turobinie, aż tu przybiega jakiś chłop i mówi: „Panie poruczniku, uny śpią u nas w stodole”. „Kto taki?” „A te, co mówią, że są polskie wojsko, a nie są”. Sam bał się z nami iść, tylko pokazał kierunek. Podchodzimy do zagrody - cisza. Szarówka się robi, widać, że wrota do stodoły przymknięte, z wnętrza - chrapanie. Skradamy się cichutko - nawet pies nie zaszczekał. Jak weszliśmy na podwórko, z okna chałupy wychyla się staruszka, patrzy na nas, kładzie palec na ustach, a potem pokazuje na palcach, ilu ich tam jest. Pierwszy wszedł kapral Zajchert. Myśleliśmy że weźmiemy ich bez strzałów. Ale w stodole było ciemno, Zajchert zawadził nogą o jakąś bańkę, huk zrobił, tamci od razu na nogi i do broni. I zaraz strzelanina, łomot, krzyk...! Dobrą chwilę trwało, zanim wyleźli na podwórko z łapami nad głową. Jeszcze dzisiaj widzę wyraźnie jednego, młody był, wystraszony, blady, syn młynarza z Turobina...

Potem WiN zemścił się. Mnie nie mogli osiągnąć, ale na Piotra i Pawła, 26 czerwca 1948 r. przyszli ich ludzie z PAS-u do Blinowa i spalili ojcu chałupę. PAS to było Pogotowie Akcji Specjalnej, wykonywali w WiN-ie wyroki śmierci i różne inne brzydkie roboty, a nosili na piersiach... ryngrafy z Matką Boską Częstochowską. Takie to były czasy...

Ja się wkrótce znalazłem znowu z dala od domu. Ale zawodowa służba wojskowa nie odpowiadała mi. W 1950 r. przeszedłem do rezerwy i zamieszkałem z rodzicami, już w Lublinie, w małym domku na Dziesiątej.

I teraz - co robić? Mam 21 lat z kawalkiem, znam się wprawdzie na wojsku, ale z rzeczy cywilnych całe wykształcenie to „mała matura”. Akurat powstawała WSK w Świdniku. Zgłosiłem się, zapisali na liście jako piątego pracownika. „Zawód?” - pyta dyrektor inwestycji, inżynier Biały. „Były wojskowy”. „Dobra - on na to - zostaniecie inspektorem od płotu”. Tak sobie zażartował, ale miał sporo racji, bo powierzono mi komendę nad strażą przemysłową, a że pierwszą inwestycją w WSK było ogrodzenie terenu, więc po nocach pilnowaliśmy tych kołków, cośmy je w dzień pomagali robotnikom wbijać.

Długo tak nie trwało, budowa zaczęła się rozkręcać na całego, przychodziło coraz więcej ludzi. Z Komitetu Wojewódzkiego przyszedł na kierownika kadr, tow. Palonka, i zrobił mnie swoim zastępcą. Przyjmowaliśmy wtedy m. in. do pracy pierwszego inżyniera do produkcji, Adama Hadrawę, obecnie dyrektora szkoły przyzakładowej.

W 1951 r. wyjechałem do Katowic na kurs gospodarki cieplnej paliwem w przemyśle i ukończyłem go z wynikiem dobrym. Jak wróciłem do zakładu, miałem już te przynajmniej minimalne kwalifikacje, a że zaczęto właśnie uruchamiać pierwszą kotłownię, dostałem zajęcie w dziale głównego mechanika. Ale taki kurs człowieka nie urządza. Niby ludzie mnie szanują, wybrali na drugiego sekretarza komitetu zakładowego partii, to przecież zawodowo kim ja jestem? Robotnikiem po kursie? Przychodzi coraz więcej inżynierów, techników, dostają odpowiedzialne stanowiska, a ja już zaczynam przechodzić do historii, jako „bohater pierwszych, trudnych dni”. Dostałem wprawdzie etat referenta paszportyzacji maszyn w dziale głównego mechanika, ale sam sobie zdawałem sprawę, że to miejsce dla technika i że prędzej czy później trzeba się będzie z nim pożegnać.

Pracuje u nas stary frezer Sienicki. Przyglądał mi się przez pewien czas, patrzył jak się miotam na swoim stanowisku, aż kiedyś przyszedł i mówi: „Panie Jasiu, chodź pan lepiej do mnie, nauczę pana dobrej roboty, na frezarce, przynajmniej będzie jakiś fach w ręku”. I nauczył. Do 1953 r. byłem frezerem.

W zakładzie organizowano wieczorowe Technikum Mechaniczne. Dużo ludzi się zgłosiło, poszedłem i ja. Coś tam jeszcze pamiętałem ze starej lubelskiej szkoły, trochę materiału powtórzyłem, tak że przyjęto mnie od razu do trzeciej klasy. W czasie nauki w technikum zdążyłem się ożenić i dochować dwojga dzieci. Trudno pogodzić robotę z nauką, życiem rodzinnym i urządzaniem domu, więc jak skończyłem technikum pomyślałem: „Teraz już mi chyba edukacji wystarczy, czas trochę pożyć i pomieszkać”. Stanowisko dali niezłe, z maszyny przeszedłem na technologa w wydziale narzędziowym, potem zostałem konstruktorem oprzyrządowania. Przez trzy następne lata pracowałem „przy desce”. Robota dobra i ciekawa.

Raptem okazało się, że to już dziesięć lat minęło jak pracuję w zakładzie. Żeby zwierzchnicy nie zapomnieli, nawet bym sobie tego nie uświadomił. Tak jest: żona, dzieci

przychodzą na świat, myśli się o pralce, o lodówce, zaczyna się na własnym kawałku ziemi sadzić drzewka, ściągają materiały pod budowę domu - a lata lecą. I nagle okazuje się, że naokoło ciebie stoją w pracowni sami inżynierowie, a niektórzy koledzy z Technikum kończą WSI. Niby nikt nic nie mówi, ale człowiek zaczyna być traktowany jakby trochę „przez nogę”. Na przykład taki Sobiesiak: najpierw pracował u mnie w grupie, mnie podlegał, a teraz akurat na odwrót. Myślę; mogą inni, mogą i ja WSI zrobić. Dlaczego mam być gorszy? Założyłem się z kierownikiem biura, że zdam na pierwszy rok. O dwieście złotych podwyżki...

Zacząłem wkuwać matematykę i fizykę gdzie się dało. Potem oczywiście - egzamin. Zdawało nas stu sześćdziesięciu, a miejsc było trzydzieści pięć, więc po egzaminie nie pojechałem nawet do Lublina, żeby zobaczyć, czy jestem na liście przyjętych. A byłem. Dopiero koledzy mi powiedzieli. To ja zaraz do kierownika: „Słowo się rzekło - gdzie moja podwyżka?” On się śmieje na to: „Poczekaj, studentem dla mnie jeszcze nie jesteś, pogadamy po pierwszym semestrze”.

Zły byłem, ale zacząłem chodzić na zajęcia. Człowiek odzwyczaił się od systematycznej nauki, co jednym uchem wpadło, drugim wyleciało. W zimowej sesji - pierwszy egzamin u inż. Jaśkiewicza. Metalurgia. Zdawaliśmy w piątkę i cała piątka „oblała”. Wtedy - zawzięliśmy się. Kuliśmy po nocach, w zakładzie - przyznaję - pracownicy byli z nas majowi. Ale poprawkowy zdałem na piątkę. Kierownik słowa dotrzymał - podwyżkę wysupłał.

Później było łatwiej. Jakoś się wciągnąłem. Przez cztery lata rozkład zajęć miałem następujący: z pracy wychodziłem o trzynastej, szedłem do stołówki na obiad, potem na chwilę wpadałem do rodziców - żona z dziećmi mieszkała już w Kazimierzówce - o piętnastej czterdzieści jechałem pociągiem do Lublina, odbywałem ćwiczenia i wykłady, a o dwudziestej trzydzieści wracałem „chełmskim” do Świdnika. W domu, w Kazimierzówce, byłem na dwudziestą pierwszą. Światła jeszcze nie podciągnęliśmy, więc trzeba się było uczyć przy lampie naftowej. O jedenastej wieczorem kładłem się spać. A o piątej rano pobudka i do pracy.

Na trzecim roku studiów ciężko zachorowałem, miałem kilkumiesięczną przerwę w nauce. Jak wróciłem na WSI nie wiedziałem za co się chwytać, myślałem: stracę ten rok, trzeba brać urlop dziekański. I wtedy inż. Jaśkiewicz przyszedł do mnie i powiedział: „ja zaległe ćwiczenia będę z panem odrabiał. Widzę, że się pan męczy, człowiek człowiekowi musi pomagać”.

Tak. Na co dzień może tego nie widać wyraźnie, ale gdy przyjdzie potrzeba, ludzie potrafią okazać pomoc. Dzięki inż. Jaśkiewiczowi nie zawałem roku. Dyplom inżyniera wręczył mi rektor Podkowa 13 czerwca 1964 roku.

Tak, życie jak dotąd było ciekawe. Jest rodzina, jest dom, jest zawód. Wszystko się dobrze ułożyło. Chyba dobrze...

Pierwodruk: „Kamena”, 1969, nr 14, s. 1, 6-7.